

Lewis Reaktywacja

Clive Staples Lewis
**Trylogia kosmiczna – Z milczącej planety,
 Perelandra, Ta straszna siła**
 Media Rodzina
 Poznań 2009.

Wreszcie! 64 lata minęły jak z bicza strzelił i oto możemy cieszyć się polskim przekładem książki wydanej na świecie w dziesiątkach milionów egzemplarzy. „Trylogię międzyplanetarną” Clive’a Staplesa Lewisa dręczył w Polsce do tej pory jakiś fatalizm wydawniczy. Owszem, samą „Perelandrę” (druga z powieści) PAX wydał już w 1971 roku. Owszem, całą trylogię przetłumaczył następnie Andrzej Polkowski i ukazała się ona w roku 1987 wydana przez wydawnictwo Pelikan, a następnie została wznowiona przez Wydawnictwo „M” (1993). I rzeczywiście, rynek polski został dość dobrze nasycony dwoma drobnymi książeczkami, z których z czasem wyklejało się coraz więcej kartek. Jednak ostatnią część trylogii, „Tę ohydny siłę”, dopadł „ten ohydny pech”. Nikt z moich znajomych nie widział tej książki na oczy, nie dało się jej nigdzie nabyć, a po Internecie krążyły jedynie jakieś zeskanowane kopie. Przypuszczam, że nakład tej powieści przepadł w czeluściach kryzysu wydawniczego i dystrybucyjnego, który sprawił, że wszystkie książki wydane w latach 1991–1993, a których nie napisał Alistair McLean, nie miały racji bytu na półkach księgarskich.

Jakby tego było mało „Ta ohydna siła” podlegała zabiegom skrócenia – Pelikan serwował tłumaczenie wersji wydanej na rynek amerykański, którą osobiście o co najmniej połowę ociosał (jakimiż pieniędzmi go do tego nakloniono?) sam Lewis. Zdarza się – podobną amputację przeżyło na przykład pierwsze polskie wydanie „Kawalerii Kosmosu” Roberta Heinleina. I faktem jest, że obydwie te książki posiadały niemałe fragmenty „refleksyjne”, które można było wyciąć bez szkody dla akcji, ale z jawną szkodą dla wymowy utworu, gdyż – przynajmniej – żadnego z tych autorów nie czytuje się dla wartkiej fabuły.

W końcu jednak los zlitował się nad spuścizną Lewisa i polskimi czytelnikami. Wznowiona została cała trylogia, w tym „Ta ohydna siła”, przechrzczona teraz na „Tę straszny siłę” w kompletnym tekście, przy czym znów nie udało się uniknąć kontrowersji. Wydawnictwo Media Rodzina zdecydowało się na wydanie trzech powieści w jednym tomie. Jest to, zdaje się, unikat na skalę światową. Niezbyt chyba przemyślany. Po pierwsze, tomszcze jest opasłe i nieporęczne. Po drugie, jest to klasyczna trylogia, czyli zbiór powieści powiązanych dość pretekstowo, w dodatku diametralnie różniących się stylistyką. Bliżej jej do trylogii Verne’a (komuż by przyszło do głowy łączyć „Dzieci kapitana Granta” z „Tajemniczą wyspą”?) niż do jednostajnego cyklu husyckiego Sapkowskiego lub trzypomowej powieści „Władca Pierścieni” (którą, o zgrozo, powszechnie nazywa się „trylogią”). Niemniej najważniejsze, że książka się ukazała.

Fantastyka i Angliczanie

Przygoda Lewisa z fantastyką jest znamieną dla samego Lewisa, dla fantastyki, ale i dla środowiska Inklingów, w którym rodziły się pomysły wykładowcy uniwersytetu w Oxfordzie. Jeżeli chodzi o Lewisa, to zwróćmy uwagę, że nie był on literatem w czystym tego słowa znaczeniu. +

To raczej filozof, który swoje przemyślenia popieszczył, bez poprawiania, spisywał w literackiej formie. I dla tego fabularyzującego filozofa jedynym medium wyrazu była właśnie fantastyka – o ile wiem, nigdy nie spisał niczego, co nazwalibyśmy powieścią obyczajową. To właśnie brak realizmu pozwalał mu na uruchamianie tego szczególnego rodzaju spekulacji, do jakiego ciężko jest się przebić pisarzom, których zajmuje dusza ludzka. Śmiem podejrzewać, że na przykład taki literat dusz jak Dostojewski zazdrościłby zdobywcy Anglików. Proza Rosjanina, choć ortodoksyjnie realistyczna, aż kipi od symbolizmu, od prób destylacji ludzkich daimoniów, czynionych poprzez zdzieranie kolejnych zasłon psychologicznego prawdopodobieństwa w kierunku wyprodukowania nieludzkich charakterów, podczas gdy podobne efekty można osiągnąć, zawieszając niewiarę realizmu.

Jeżeli chodzi o science fiction, to dla niej Lewis też jest wyjątkowym pisarzem, gdyż pozostaje wyjątkowo atehniczny, acywilacyjny i staroświecki już dla siebie współczesnych. Nie ma co kryć, że interesują go w większości eksperymenty filozoficzne w zakresie teologii, a całe to SF, choć konieczne, jest jednak pretekstem. Świat będzie musiał poczekać parę lat na podobnych do niego ignorantów, ot, choćby Vonneguta i Dicka.

W końcu klub Inklingów bądź pokrewni mu duchowo twórcy – J.R.R. Tolkien, Charles Williams, George MacDonald, raczej odnajdywali się w konwencji baśni, czyli popularnej fantazy. Jedynie Lewis zdecydował się na mariaż z SF, który innych zdecydowanie nie pociągał. Lewis i Tolkien w okolicach 1937 roku umówili się nawet, że pierwszy napisze powieść SF o podróży kosmicznej, a drugi o podróży w czasie. Tolkien rozgrzebany pomysł o nazwie „Zagubiona droga” dość szybko odwiesił na kołek (czyżby pałeczkę przejął David Lynch?).

Bezczelne wizje

SF stała się dla Lewisa narzędziem filozofii. Dodajmy, że dość bezczelnej filozofii. Po pierwsze, nie są to już powiastki filozoficzne ze szkieletowymi fabułkami, od wieków tak lubiane przez niewyżytych literacko myślicieli. To pełna XIX-wieczna imitacja rzeczywistości. Po drugie, Lewis bez kompleksów zabiera się za dosłowne opisywanie miejsc tak potocznie skażonych wirusem niewyobrażalności, jak raj z grzechem pierworodnym lub piekło z wiecznym potępieniem. Niewyjaśniona pozostaje dla mnie zagadka, czy są to tematy hermetyczne. Wielu oskarża Lewisa o pisanie wywodów czysto konfesyjnych, a więc kierowanych wyłącznie do chrześcijan. W szczególności reaguje się tak na „Perelandrę”. Jednak Bóg, diaby i anioły to tematy, które wydają się uniwersalne, więc trudno pojąć, dlaczego diabeł nie razi ateuszy w filmach gatunku horror, a miałby odrzucać w prozie, której autor ma jakąś teologiczną wizję.

W efekcie w trylogii Lewisa pojawia się prawdziwa walka dobra ze złem. Jednoznacznego dobra z jednoznacznym złem. Nie jest to proza półcieni i wyważonych racji. Bohaterowie nie są wieloaspektowi, ale spolaryzowani pomiędzy dwoma obozami. Podobnie jak w świecie Tolkiena lub późniejszej Narnii, bohaterowie są skazani na determinizm. Służą albo dobru, albo złu.

My i oni

Jak prezentuje się „Ta straszna siła” w stawce utworów? „Z milczącej planety” formą tkwiła najmocniej w tradycyjnym kosmicznym SF. „Perelandra”, choć jej akcja dzieje się na Wenus, jest bardziej baśnią, rajem utraconym w międzyplanetarnej scenerii. Ostatnia powieść, może z tego powodu, że akcję umiejscowiono na Ziemi, ma w sobie najmniej egzotyki. Fabuła została rozczłonkowana na dwie równoległe relacje z dwóch ścierających się obozów: dobra i zła.

Każdy z nich widzimy oczami dwojga bohaterów, małżeństwa Jane i Marka Studdocków. Mark Studdock to młody socjolog, który zostaje wciągnięty w prace organizacji postępowych naukowców NIBS (Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych), którzy planują odmienić oblicze Ziemi, a zaczynają od sterroryzowania uniwersyteckiego miasteczka Bracton. Zrównanie z ziemią starośredniowiecznego ośrodka oraz pradawnego lasu to wstęp do przemiany Anglii na modernistyczną modłę. Odpór dla NIBS-u daje garstka staroświeckich osób zamieszkujących dom w osadzie St. Anne's, skupionych wokół doktora Ransoma, bohatera wcześniejszych powieści, który po powrocie z kosmicznych wędrówek i oswojeniu się z anielskimi bytami przemienił się z *everymana* w jednego z najpotężniejszych z ludzi.

Starcie pomiędzy ludźmi z NIBS i St. Anne's przemienia się w starcie znacznie potężniejszych mocy. Za nimi stają kosmiczne bezcielesne istoty (tzw. eledile), które Lewis przedstawił we wcześniejszych częściach. Te dobre, pochodzące z innych planet, przeciwstawiają się tym skrzywionym, władającym Ziemią i wpływającym na jej losy za pomocą inkarnacji w Głowę, podtrzymywaną przy życiu przez naukową aparaturę. Kolejna zaś płaszczyzna, na której rozegra się walka, to pole historiozoficzne. Logres, mityczne królestwo Artura, zewrze się Brytanią, czyli drugim anglosaskim obliczem mieszkańców Wysp. W całym konflikcie kluczowe wyda się to, kto pierwszy odnajdzie najpotężniejszego z prastarych ludzi – Merlina, który właśnie wybudza się z wiekowego snu, i sprzymierzy się z nim.

Państwo mędrców

Relacja z konfliktu przeradza się z mrocznego realizmu w baśniowy epos. Pierwsza część historii to bezdyskusyjny atut powieści – stanowi ciemny i przerażający obraz manipulacji, w wyniku

których przejmowana jest władza wraz z rządem dusz Brytyjczyków. Organizacja postępowych naukowców w realizacji swych celów mistrzowsko postępuje się środowiskowymi podchodami, finansowymi naciskami, prawnymi sztuczkami, sponsorowanymi publikacjami w mediach oraz czysto fizyczną przemocą i policyjną inwigilacją. To klasyczna dystopia przedstawiona w skali mikro, i na przykład autor klasycznej dystopii w skali makro – George Orwell znał przed powstaniem „Roku 1984” powieść Lewisa i popierał jego spostrzeżenia.

Intryguje wybór środowiska, które sięga po ster ludzkości. Naukowcy nie byli wówczas (1945 r.) jeszcze postrzegani szczególnie negatywnie w oczach społeczeństwa. Bomba na Hiroszimę dopiero miała spaść. Nikt nie zaprzętał sobie głowy społeczną inżynierią lub genetycznymi manipulacjami. Sam Lewis w przedmowie do powieści zastrzegł: **wybrałem moje własne środowisko – oczywiście nie dlatego, że uważam, iż członkowie kolegów uniwersyteckich są bardziej podatni na rozkład moralny, ale dlatego, że jest ono tym, które znam najlepiej.** Żywię jednak podejrzenie, że to zasłona dymna i Lewis naprawdę nie ufał kolegom uniwersyteckim, co wynika z jego rozważań.

Socjolog i pisarz Edmund Wnuk-Lipiński w trylogii „Apostezjon” opisuje system totalitarny, którym rządzą naukowcy. Autor komentował swoją prozę, mówiąc, że każda władza potrzebuje jakiejś legitymizacji i równie dobrze może być nią nauka. I nie jest to nic nowego od czasu „Państwa” Platona. Narodziny takiego systemu pokazuje właśnie Lewis. Przyznaje on też, że „Ta straszna siła” inspirowana jest spostrzeżeniami z innej jego książki, „Zniesienie człowieczeństwa”. A właśnie zniesienie wszystkiego, co ludzkie, a co nie jest umysłem, postulują opisywane środowiska naukowe. Członkowie NIBS-u wręcz brzydzą się wszystkim, co biologiczne, +

marzą o ziemi pozbawionej choćby źdźbła trawy. Postępują się językiem, który wyklucza istnienie emocji. Podłączona do przewodów Głowa uosabia ekstrakcję (jeszcze niedoskonałą) umysłu z cielesnej powłoki. Wizje Lewisa są wcale prorocze. Pokazuje on, że wielu ludzi nauki napędza pragnienie zapanowania nad elementami świata. Umysły humanistyczne pragną manipulować myślami człowieka. Umysły ścisłe pragną manipulować jego ciałem i środowiskiem. Już w wizji Lewisa ta manipulacja przeraża się w eksterminację, czego świadkami jesteśmy również teraz. Panowanie nad umysłem oznacza eksterminację uczuć i myśli o duszy. Panowanie nad ciałem oznacza eksterminację niedoskonałej biologicznej powłoki i jej syntetyczne odtworzenie. Wirtualność, sztuczna prokreacja, racjonalna selekcja. Te marzenia wciąż i wciąż wracają do nas.

Od strony literackiej dystopię Lewisa wyróżnia pozytywnie również pokazanie psychologii aktorów totalitaryzmu. Nie jest tak, jak w późniejszych powieściach tego typu (Orwell, Bradbury, Strugaccy, Zajdel, Wnuk-Lipiński), że najwyższe kręgi władzy pozostają ukryte lub nieznane są ich dążenia. Tutaj poznajemy pełnokrwiste postaci wyruszające dopiero na podbój ludzkości. Wnikamy w ich myśli, małostki, wzajemne tarcia. I przyznam, że jest to opis bardzo misterny.

Deus ex kosmos

Kto ze mną nie zbiera, rozprasza. W miarę postępu zdarzeń Lewis pokazuje, że działania, których fundamentem jest racjonalizm i neutralność światopoglądowa, są w efekcie bardzo dalekie od neutralności. Racjonałści w walce z duchem, świadomie sprzymierzają się z innym duchem. Tworzą własny mesjanizm i własną apokalipsę. Podług tej zasady cała narracja zaczyna nasiąkać magią, fantastyką i metafizyką. Tonacja z mrocznej przeraża się w groteskową. Jest to

zabieg zszywania dwóch stylistyk, który wielu czytelników może odrzucić. To też niestety trudne wyzwanie z czysto literackiego punktu widzenia. Jakże bowiem budować niepokój i napięcie, skoro wiemy, że jeżeli w grę zaczynają wchodzić Bóg i szatan, to wynik starcia jest jakby z góry przesądzony. Nie chciałbym wiele zdradzać z zakończenia, ale rozwiązanie rozgrywki przestaje emocjonować, gdyż jakby nic wydaje się nie zależeć od ziemskich sług królestwa Logresu, gdy do akcji wkracza Merlin *ex machina*. Trochę to przypomina finał późniejszego „Lwa, czarownicy i starej szafy”. Ale w tamtej historii, choć Aslan mógł sam załatwić wszystkich, co jest prawdą powtarzaną od czasów choćby Gedeona, to jednak fabularną ośią pozostaje przejmująca ofiara wszechmogącego lwa. Tutaj całej historii zaczyna brakować dramatyizmu.

Choć Merlin w łączeniu z siłami kosmicznymi odgrywa rolę superbohatera, to na uwagę zasługuje jego portret. Lewis pokazał postać nieokrzesaną, pełną pierwotnych nawyków, okrucieństwa, ale i prostolinijnej mądrości. W ciekawy sposób ściera się on z nową Anglią. I o ile literaturą o stykach epok rządzi amerykański schemat o jankesie na dworze Króla Artura, to Anglikom też trzeba przyznać udane zaprezentowanie *vice versa* sługi Artura na dworze Króla Jerzego VI i premiera Churchilla.

Krzysztof Głuch